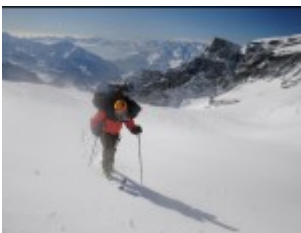


Zimowy trening









MONTE ROSA – Zimowy trening

Gdzie – Monte Rosa (>4000 m n.p.m.)

Kiedy – luty 2013

Kto – Dziku & Paweł & Aga & Tomek

Kluczem miała być pogoda. I tuż przed wyjazdem Paweł fachowo zinterpretował prognozy:

„Pogoda nie wygląda źle, a na weekend się klaruje. To -30 da nam w dupę ale przynajmniej komarów nie będzie.”

I tak po raz kolejny przyjechaliśmy do Zermatt. Lecz po raz pierwszy zimą. I muszę przyznać, że to miasto i jego okolica wyglądają o tej porze wyjątkowo ładnie. Mając przed sobą nie przysłoniętą najmniejszą chmurką sylwetkę Matterhorna ruszyliśmy stokami narciarskimi pod górę. Tym razem nie mamy

na celu konkretnego szczytu. Przyjechaliśmy przetestować siebie i sprzęt w zimowych, górskich warunkach przed naszą planowaną wyprawą na 7-tysięczny szczyt w Pamirze. Warunki do treningu trafiliśmy dobre. W tych dniach było bardzo mroźno. W okolicy 4000-cy metrów temperatura wahała się w okolicach -30 stopni. Jednocześnie dobra pogoda pozwoliła nam na szybkie zdobycie wysokości. Już pierwszego popołudnia po przyjeździe docieramy z dwudziesto-paro kilogramowymi plecakami na plecach na wysokość 2430 m. Po spędzeniu pierwszej zimnej nocy na lodowatej podłodze opuszczonego budynku kolejki, rankiem na drugi dzień ruszyliśmy w dalszą drogę. Po około 10h marszu dotarliśmy na plateau pod Breithornem (4164 m n.p.m.). Tu, na lodowcu i wysokości ok. 3750 m rozbiliśmy namioty. Tej nocy było jeszcze zimniej niż poprzedniej. Po zmroku na naszym termometrze szybko skończyła się skala. Temperatura spadła poniżej -30 stopni. Jeszcze tego wieczoru udało mi się coś przełknąć. W kolejnych dniach choroba wysokościowa pozbawiła mnie niemal całkowicie apetytu. Po powrocie, na podstawie tych doświadczeń można wywnioskować, że na kilkudniowy wypad na 4-tysięcznik wystarczy zabrać 4 kisiele i herbatniki. Z takimi wnioskami na pewno nie zgodziłaby się Aga, która bez względu na wysokość i temperatury spożywała posiłki jakby nigdy nic.

Już następnego dnia stanęliśmy na szczycie Breithorna (4164 m n.p.m.). Aga, która w tych dniach wykazywała niezwykłą kondycję i siłę fizyczną stanęła na szczycie jako pierwsza. Potem na wierzchołku stawali kolejno pozostali członkowie ekipy. Na końcu człapał Paweł, który jako jedyny był tu na nartach skitoruowych i miał z nimi trochę problemów technicznych. Jednak swoje postanowienie spełnił i po raz pierwszy w swoim życiu zjechał z 4-tysięcznego szczytu. Wymagało to sporo odwagi. Stok miał bardzo duże nastromienie, w dodatku gdzieś tam pojawiały się głębokie szczeliny. Po dotarciu do namiotów i odpoczynku spakowaliśmy się i ruszyliśmy w dalszą drogę. Przed zmrokiem chcieliśmy dotrzeć do schronu koło przełęczy Schwarztor (3734 m n.p.m.).

Jednak już po zejściu z plateau i wejściu w górną część lodowca Verra poczuliśmy kryzys. Szybko oddałem prowadzenie, ponieważ podczas torowania opadłem z sił. Następny odpadł Tomek. A Aga... w tych dniach przebijała nas wszystkich. Ruszyła jako pierwsza i torowała w śniegu aż do zapadnięcia niemal całkowitych ciemności. Pawła już wtedy z nami nie było. On na nartach zapadał się najmniej i znacznie nas wyprzedził. I w ten sposób po zmroku zostaliśmy we trójkę z małutkim – dwuosobowym – szturmowym namiotem. Wykopaliśmy platformę i ściśnięci jak sardynki położyliśmy się w śpiworach. Byliśmy potwornie wychłodzeni. Dygotaliśmy przede wszystkim z powodu wyjątkowo niskich temperatur, ale również z powodu zmęczenia po wysiłkach tego dnia. Mieliśmy nadzieję, że Paweł dotarł do schronu i tam spędzi noc. Jednak niecałą godzinę później usłyszeliśmy jego wesoły głos. Okazało się, że schronu nie znalazł. Brnął w coraz trudniejszym terenie, aż w kopnym, metrowej głębokości śniegu odpięła mu się narta. Ledwo się wygrzebał i postanowił do nas wrócić. Najmniej szczęśliwy z takiego obrotu sprawy był Tomek. Nie zdążył się ani trochę rozgrzać a już musiał wyjść i od nowa kopać platformę i rozstawiać kolejny namiot. Ależ mi go wtedy żał było. Ale moje ciało było już wtedy wraz ze śpiworem wkomponowane w nierówności śnieżnego zbocza i przez następne 12h nie poruszyło się ani o centymetr. Następnego dnia usłyszemy od Tomka zdanie, które utkwi mi w pamięci: „Jak kiedyś wspomnę coś o Alpach zimą to mnie walnijcie w głowę”.

Rano przeanalizowaliśmy sytuację i postanowiliśmy dotrzeć na przełęcz i do schronu dolnym lodowcem Verra. Wróciliśmy po naszych śladach do początku drogi i zaczęliśmy trawersować stromy stok w kierunku przełęczy pod szczytem Polluxa. Ten odcinek nie jest wcale długi, zaledwie paręset metrów. Ale widząc poniżej nas szczeliny w lodowcu nie mogłem pozbyć się myśli – co będzie jeśli spadnie śnieg? Obsunięcie się z lawiną po tym stoku nie dawało prawie żadnych szans. Musiało się skończyć w jednej z głębokich szczelin. Ale dziś – przy pięknej pogodzie – szliśmy bez problemów po zmrożonym i

świetnie trzymającym śniegu. Kiedy dotarliśmy do przełęczy wyjaśniła się sprawa schronu. Okazało się, że znajduje się on wysoko na skałach. Od góry zasłonięty i niewidoczny, dlatego Paweł poprzedniego wieczoru go nie znalazł. A prawdopodobnie dotarł bardzo blisko budynku! A od dołu, choć schron dobrze widoczny, wydawał się również poza naszym zasięgiem. Stwierdziliśmy, że nie ma co się mordować i skoro mamy namioty to rozbijemy je tu na przełęczy. Na następny ranek zaplanowaliśmy uderzenie na Polluxa i Castora. No dobrze, ale jest popołudnie i jeszcze parę godzin słońca. Aga, która energia wręcz rozpierała, po obiedzie usilnie namawiała nas, by wejść na pobliski szczyt – Roccia Nerę (4075 m n.p.m.). Przez pół godziny nikt nie dawał się namówić, aż wreszcie skapitulował Tomek. Razem zdobyli kolejny 4-tysięczny szczyt. Szczyt nie był tak prosty, jak się to wydawało z dołu. Do pokonania był stromy, zaśnieżony stok z wyjątkowo głębokim śniegiem w części podszczytowej. Końcowe metry Aga i Tomek pokonywali na czworakach. Po mniej niż 2,5 godzinie wrócili. Ich dobre humory wzbudziły w Pawle pokłady ambicji i mimo zbliżającego się zmierzchu Paweł ruszył po ich śladach samemu na szczyt. Wrócił już w całkowitych ciemnościach i – niestety – przy zachmurzonym niebie. Tuż przed jego powrotem zaczął sypać śnieg.

I nie przestał aż do następnego ranka. W nocy wstawałem by odkopać namiot. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę. Podnosząca się temperatura i gęste opady wzbudziły we mnie najgorsze przeczucia. Śniegu przez noc spadło co najmniej 20 cm. Jednak z powodu silnego wiatru nie była to równa powłoka, lecz dochodzące gdzieś do metrowej wysokości zaspy. Rano jednogłośnie podjęliśmy decyzję o odwołaniu. Po spakowaniu się ruszyliśmy w kierunku stoku prowadzącego na względnie bezpieczne plateau pod Breithornem. Niestety już po 100 metrach przy tak słabej widoczności straciliśmy orientację. Teraz przyszedł czas na plan B. Nasze oczy skierowały się w kierunku stromej i wysokiej skały z budynkiem schronu. Tam będziemy mogli przeczekać najgorszą pogodę. Mamy przecież

jedzenia i paliwa na następne kilka dni. Jednak schron, który z założenia powinien służyć otworem właśnie w przypadku trudnych warunków, położony był w miejscu tak trudno dostępnym! Mój atak został odparty jako pierwszy. Brnąc pod górę w nawianym, zupełnie niezwiązany śniegu dotarłem do skał na stromym zboczu. Tu droga, którą oceniałem jako względnie mało ryzykowną się skończyła. Pewnie gdyby nie grudniowa przygoda z lawiną parłbym ostro do przodu. Teraz jednak, stojąc na wysepce skalnej oznajmiłem, że się dalej nie ruszę. Na sąsiadującej, podobnej wysepce stała Aga i wyła z powodu bólu w palcach stopy. Choć ciężki do zniesienia, ból ten daje w pewnym sensie uczucie ulgi. To znak, że we wstępnej fazie odmrożenia wraca krążenie. Najbliżej celu był Tomek. Przywiązał do siebie koniec liny i ruszył pod górę szukając punktu do założenia stanowiska. Dotarł już do ostatniej grupy skalnej przed schronem. Niestety, nigdzie nie dało się założyć punktu do asekuracji. Obsunięcie się z tego śnieżnego pola to upadek wraz z masą śniegu ze stromego urwiska. Zresztą, prawdopodobnie zgarniając po drodze mnie i Agę, ponieważ znajdowaliśmy się poniżej. Najbardziej rozsądny w tym momencie wydawał się pomysł Pawła, aby wspiąć się do schronu po skale i stalowych linach. Oczywiście możliwe było to tylko na lekko. Ale pozwoliłoby założyć asekurację dla kolejnych osób transportujących plecaki. Dlaczego nie wpadliśmy na to wcześniej? Ponieważ częściowo zasypane i przymarzniete do skał liny zobaczyliśmy dopiero z góry. Pomysł również był ryzykowny, a o jego skuteczności nie było nam dane się przekonać. Nagle zamieć śnieżna się skończyła, niebo stało się błękitne i zaświeciło słońce.

Teraz, bez problemu z orientacją wróciliśmy na stok i ruszyliśmy w drogę powrotną. Okazało się, że moje obawy o warunki po opadach w tym miejscu były nieuzasadnione. Stok był przewiany i zamrożony. Jednak co jeśli opadów będzie więcej? Mając to na uwadze nikt się nie wahał czy należy wracać. Przechodzimy stok i wdrapujemy się na plateau. Idę zgarbiony pod plecakiem, chroniąc twarz przed wiejącym 50km/h lodowatym

wiatrem. Przed siebie popatrzyłem dopiero, gdy usłyszałem krzyk. Pod Agą, która szła jako druga załamała się cienka warstwa zmrożonego śniegu i otworzyła się szczelina. Dzięki dużemu plecakowi i rozłożonym rękoma zatrzymała się na powierzchni. Wydostała się o własnych siłach, przeskoczyła rozpadlinę i mimo stresu była gotowa do dalszej drogi. Idąc jako ostatni mogłem się przyjrzeć i przekonać, jak groźna to była szczelina. Nie sposób było dojrzeć jej dna.

Po dotarciu do górnej stacji kolejki na Klein Matterhorn stwierdzamy, że trening można zakończyć. Te kilka dni pozwoliły nam już wyciągnąć wnioski dotyczące naszego przygotowania i posiadanego sprzętu.

Z wysokości 3820 m n.p.m. Paweł zjeżdża na nartach a reszta ekipy schodzi pieszo do samego miasta.

Dokładnie rok temu o tej samej porze dotarliśmy do schronu Vallot by następnego dnia dokonać zimowego wejścia na Mont Blanc. Tym razem postawiliśmy na przeżycie kilku lodowych biwaków na wysokości niemal 4 tys. metrów. Co wymyślimy za rok?

Ale póki co wjeżdżamy do Wrocławia. Po kilkunastu godzinach sennej jazdy autostradami zaczęły się szybkie ruchy kierownicą i slalom między głębokimi dziurami w jezdni. Z tylnego siedzenia słyszę głos Tomka:

„Tu jest groźniej niż na lodowcu...”

– END –

Dziku